

CENTRUM NOWEJ HUTY

Rozmach na centrum * Żurawie samojezdne * Projekty racjonalizatorskie * Nowy dyrektor * Sfałszowane wybory * Oskarżenia

Od 1 V 1953 r. zostałem znów wyróżniony w pracy i przeszeregowany do grupy Ia. Osiągnąłem w ten sposób górny pułap możliwości zarobkowych w biurze. Widelki płac kończyły się bowiem na grupie Ib, przysługującej tylko zatrudnionym na stanowiskach dyrektorskich. Dyrektor Zralek najwyraźniej stawiał na mnie konsekwentnie. Potrafił docenić zaangażowanie w pracy, ale był też wymagający. Byłem przypadkowym świadkiem zdarzenia wyraźnie to dokumentującego. Przebywałem w jego gabinecie w jakiejś sprawie, gdy wszedł, zawieszany wcześniej, pracownik - referent z działu programowania. Miał on przygotować ważny materiał dla ministerstwa, ale mimo ponagleń, nie dotrzymał kilku wyznaczonych terminów. Nie był to pracownik przejmujący się pracą, znałem go raczej z częstego przebywania w bufecie i popijania herbaty.

Dyrektor wstał zza biurka, zbliżył się do niego i napierając na niego brzuchem, wypchał go z powrotem do sekretariatu, cały czas przy tym besztając go półszepem i wyzywając nieprzyzwoitymi słowami. Sekretarce kazał polecić personalnemu natychmiastowe, dyscyplinarne zwolnienie delikwenta z pracy.

W pierwszym półroczu 1953 r. oba obiekty na osiedlu C32 zostały zakończone i przekazane kolejno przez DBMNH do użytku. Zaś ja już od wiosny przygotowywałem się do przejścia do nadzorowania inwestorskiego całego Centrum Nowej Huty w zakresie robót kubaturowych. Tymczasem wykonywano tam już od dłuższego czasu część ciągów uzbrojenia terenu i roboty drogowe.

Ten mój kolejny szybki awans łączył się właśnie z oficjalnym mianowaniem mnie inspektorem zespołowym na budowie Centrum NH.

Plan generalny Nowej Huty opracowany w 1949 r. przez T. Ptaszyckiego zakładał wyraźny, ściśle scentralizowany układ urbanistyczny nowego 100-tysięcznego miasta. Centralnym punktem zabudowy miał być duży prostokątny plac, z którego promieniście rozchodziło się 5 ulic. Po dwie na kierunku kombinatu i Krakowa, natomiast piąta stanowiła pionową reprezentacyjną oś, przecinającą miasto na dwie połowy.

Kliny zabudowy, powstałe pomiędzy tymi pięcioma trasami oznaczone zostały literami A,B,C,D. Z kolei fragmenty tych klinów, ograniczone kolistymi obwodnicami stanowiły osiedla A-1, A-2, A-3 itd.

Budowę rozpoczęto od najniższych gabarytowo osiedla A-0 od strony wsi Mogiła i osiedla A-1. W latach 1951-53 kontynuowano budowę osiedli zewnętrznych A-2, C-2, C-1 i B-2. Zaś w połowie 1953 r. głównym placem budowy stały się fragmenty osiedli A-3 do D-3, zlokalizowane bezpośrednio przy Placu Centralnym. Oznaczone one były na planie urbanistycznym jako oddzielne osiedla A31 do D31.

Dzisiaj poszczególne osiedla w miejsce budowlanych numerów mają swe nazwy. Tak, na przykład, os. C-1 to obecne os. Teatralne, os. C-2, gdzie krótko zamieszkiwa-



Biurowiec na C32 (Os. Zgody)

łem, to os. Krakowiaków i Górali, zaś te osiedla wokół Placu Centralnego oznaczane numerkami 31, to obecne Centrum A,B,C,D. Właśnie nad budową tych ostatnich sprawować miałem nadzór inwestorski.

W lipcu 1953 r. pierwszy swój 2-tygodniowy urlop spędziłem na wczasach FWP w Szklarskiej Porębie na południowy-zachód od Jeleniej Góry. Jest to duża miejscowość wypoczynkowa, leżąca u stóp góry Szrenicy w Karkonoszach. Fundusz Wczasów Pracowniczych posiadał już wtedy w Szklarskiej Porębie Górnej kilkadziesiąt różnej wielkości domów wczasowych. Bodaj nie było jeszcze wówczas zakładowych domów wypoczynkowych i FWP sprawował pod tym względem pionierską i prawie monopolistyczną rolę. Oprócz zapewnienia zakwaterowania i wyżywienia, każdy większy ośrodek wczasowy prowadził również działalność oświatową i sportową. W tym celu zatrudniani byli instruktorzy k.o. (kulturalno-oświatowi), których zadaniem było organizowanie imprez, spotkań, gier i zabaw, zaś przede wszystkim wycieczek.

Wziąłem udział we wszystkich zbiorowych wycieczkach, urządzonych w turnusie i zaliczyłem szczyty Szrenicę, Łabski Szczyt i Wielki Szyszak nad Śnieżnymi Kotłami, wodospady Szklarki i Kamieńczyka, Zakręt Śmierci na drodze sudeckiej i Zamek Chojnik w Sobieszowie. Przy okazji zdobyłem brązową górską odznakę turystyczną PTTK.

W owych pionierskich latach kształtowania się zbiorowych form wczasów pracowniczych udział w nich brała przede wszystkim młodzież. Nie jeździli na wczasy ludzie starsi, bo nie mieli takich nawyków. Zaś wczasy rodzinne z udziałem małych dzieci, rozwinęły się po latach, gdy zaczęli przyjeżdżać ci młodzi pionierzy wczasowi ze swoimi pociechami. Ja od tego pierwszego urlopu byłem już stałym i niezłomnym klientem FWP przez bardzo wiele lat.



Pracując jako inspektor nadzoru budowlanego miałem wiele kontaktów z pracownikami dyrekcji przedsiębiorstwa wykonawczego „Zetbeem”. Wykorzystując to, kilka razy wziąłem udział w jednodniowych wycieczkach rekreacyjnych, jakie dział socjalny przedsiębiorstwa organizował dla swych pracowników. Dysponowali oni własnym zakładowym autokarem, który właśnie wykorzystywali na te wyjazdy rekreacyjne. W 1953 r. byłem, na przykład, na wycieczkach w Bielsku Białej i Cieszynie, oraz nad Jeziorem Rożnowskim.

Autokarowa wycieczka zakładowa.

Po rozpoczęciu budowy na osiedlach Centrum kierowałem zespołem czterech innych inspektorów nadzoru, którzy nadzorowali bezpośrednio po 3-4 duże bloki mieszkalne, gdy ja odpowiadałem za realizację całości. Byli to, tak samo jak ja, młodzi architekci J. Koczur, J. Kafiaków i St. Rosiewicz oraz konstruktor K. Winiarz. Wspaniali koledzy, kompetentni w pracy, wszyscy bardzo przystojni i szybko się poženili. Może z tego ostatniego powodu nie zrobili większych karier zawodowych. Po latach prawie wszyscy zatrudnili się w biurach projektowych na stanowiskach starszych projektantów, Staszek emigrował za ocean.

Zajmowaliśmy kilka pokoi w baraku kierownictwa odcinka robót wykończeniowych, zlokalizowanego w środku osiedla B31. Odtąd do biurowca Dyrekcji na os. C-1 chodziłem tylko w miarę konieczności służbowych.

Do budowy Centrum NH przystąpiono z wielkim rozmachem. Z małymi odstępami w czasie rozpoczęto realizację wszystkich czterech bloków oznaczonych numerami 1, usytuowanych wokół Placu Centralnego, oraz dwójki i trójki przy osi reprezentacyjnej,

obecnej Alei Róż. Były to budynki 6-kondygnacyjne, a trójki miały nawet po 8 kondygnacji nadziemnych. Każdy blok liczył po kilkadziesiąt tys. metrów sześciennych kubatury.

Jako pierwsze rozpoczęto bloki nr 2 na os. B31 i C31. Miały one dokładnie po sto metrów długości. Stąd, gdy potem gdziekolwiek miałem ocenić jakieś nieduże odległości w zasięgu wzroku, to w wyobraźni ustawiałem sobie te bloki w szeregu, odmierzając w ten sposób odcinki po 100 metrów długości.

Oba te budynki przysporzyły mi też kilka chwil silnych emocji. Mianowicie miały one już gotowe stany zerowe, a więc stropy nad piwnicami, gdy ktoś przyszedł do Dyrekcji i powiedział, że jeden z tych budynków jest posadowiony o metr wyżej od drugiego. Są one usytuowane na płaskim terenie, po dwu stronach prostokątnego placu i byłoby to tragicznym w skutkach uchybieniem realizacyjnym. Wystraszyłem się więc i mimo padającego ulewnego deszczu poszliśmy w dwójkę, z młodym geodetą A. Kowalskim, na budowę, aby sprawdzić poziomy budynków. Kolega operował niwelatorem, ja trzymałem łatę mierniczą i dwa razy sprawdziliśmy rzędne parterów obu bloków. Było wszystko w porządku. Wróciliśmy uspokojeni, ale przemoknięci do ostatniej suchej nitki.

Na tych budynkach przydarzyło mi się nieco później jeszcze jedno zdarzenie, charakteryzujące tamtą epokę od strony obyczajowej. Byłem na jednym z owych budynków, zaawansowanych chyba do II piętra, gdy od strony Placu Centralnego usłyszałem tłumny śmiech. Na wszystkich sześciu blokach przy obecnej Alei Róż roboty murarskie były w pełnym toku, a na murach roło się od robotników, gdyż ówczesni planiści opanowali zasadę koncentracji robót do perfekcji. Ten śmiech narastał i przybliżał się coraz bardziej. Brygady przerywały pracę i dziesiątki robotników podchodziło do ścian od strony drogi, aby zobaczyć co się dzieje.

Zaś środkiem, między torowiskami żurawi, siedł sobie jeden tylko młodzieniec - bikiniarz. Włosy zaczesane w czub, jasna marynarka z szerokimi, wstawianymi ramionami, wąskie spodnie do połowy łydek, jaskrawo kolorowe skarpety w poprzeczne pasy i półbuty na wysokich, świńskich podeszwach. Klasyczny ubiór klasycznego bikiniarza, jakby wyciętego ze „Szpilek” lub innych ówczesnych gazet. Cały czas, na przestrzeni 300 metrów między wielkimi budowlami, towarzyszył mu gromki, żywiołowy, szczery śmiech. Nic więcej, żadnych gwizdów, okrzyków lub tp.

Budowa Centrum pod wieloma względami stanowiła wyzwanie pod adresem projektantów i wykonawców. Częściowo przysłała nam z pomocą technika. Wykopy wykonywane były przez duże koparki przedsiębiorne z czerpakami o pojemności po 1 m³ ziemi. Ziemię odwożono samochodami-wywrotkami na skarpe przy fabryce tytoniowej w Czyżynach.

Do transportu pionowego materiałów budowlanych po raz pierwszy użyto samojezdnych 30 tnm dźwigów masztowych typu SBK, produkcji radzieckiej. Rychło licencyjną produkcję tychże dźwigów podjęły krajowe fabryki i żurawie te opanowały polski krajobraz budowlany na dziesiątki lat. Ze względu na ograniczoną ich ilość w Nowej Hucie, pracowały z reguły przez pełne dwie, a nawet niekiedy trzy zmiany. Po skończeniu stanów surowych przetaczane były przy pomocy piątego koła na następne bloki. To piąte koło, pozwalające na przejazd żurawia na poprzeczne torowisko, było bardzo cennym pomysłem racjonalizatorskim wprowadzonym przez kilku pracowników naszego nowohuckiego przedsiębiorstwa budowlanego. Natomiast dla transportu materiałów do robót



Pierwsze dwa żurawie na Centrum

wykończeniowych ustawiano od tyłu budynków tradycyjne windy warszawskie.

Wszystkie budynki w swej architekturze wzorowane były na zabudowie realizowanej wówczas Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej w Warszawie. To znaczy ustrojone były arkadami, portfenetrami, wieloma gzymsami, attykami zaś znaczna część tych elementów i elewacji była wykładana piaskowcem.

Tak, w całości, zostały zrealizowane bloki wokół Placu Centralnego. Natomiast z uwagi na poważne trudności z terminową realizacją kamieniarki i bardzo wielkimi jej kosztami - podjęto w pewnym momencie decyzję, niestety również przy moim znaczącym udziale, aby wykonanie wykładzin kamiennych na blokach numeracji 2 i 3 odłożyć w czasie. Jak się można było już wówczas spodziewać, nie zostały one nigdy wykonane, z widoczną szkodą dla wyglądu tych czterech budynków.

W tych blokach w Centrum po raz pierwszy w Nowej Hucie instalowane były wewnętrzne windy osobowe przy klatkach schodowych. Były to pewne nowe doświadczenia, przy czym windy początkowo importowano ze Szwecji. Jednak szybko podjęta została w Łodzi licencyjna produkcja takich samych dźwigów.

Zgodnie z obowiązującym normatywem projektowania wszystkie budynki ponad 5-kondygnacyjne powinny być wyposażone w zsypy śmieciowe, dostępne dla mieszkańców na podestach klatek schodowych. Dokumentacja opracowana w Miastoprojekcie przewidywała odpowiednie pomieszczenia i kamionkowe rury zsypane, ale nie zawierała szczegółów samych zsyków. Nie mogąc czekać z realizacją, podjąłem się opracowania rysunków roboczych odpowiedniej metalowej suflii zsykowej, który zgłosiłem jako projekt racjonalizatorski w „Zetbeem”. Projekt został przyjęty i zrealizowany szybko we własnych warsztatach ślusarskich przedsiębiorstwa dla wszystkich budynków wyposażonych w zsypy śmieciowe.

Wreszcie w parterach bloków nr 1 i 3 zaprojektowane zostały pomieszczenia usługowo handlowe, restauracje, kawiarnie, biblioteki, o bardzo wysokim standardzie wyposażenia i wykończenia. Były tam stiuki, wykładziny marmurowe, ozdobna ślusarka, boazerie, kasetony na sufitach itp. Było nad czym się potrudzić.

Lecz główne wyzwanie dla projektantów i wykonawców wynikało z zastosowania ciężkich żurawi budowlanych i dotyczyło technologii transportu materiałów oraz robót stanu surowego.

Dotychczas cegły, pustaki i inne drobne materiały przemieszczano w ręcznych taczakach, zaś żuraw SBK mógł podnosić ciężary do 1,5 tony wagi. Rychło więc pojawiły się różne stalowe kontenery i palety na cegły i pustaki (też pomysły racjonalizatorskie), przenoszone z placu składowego lub wprost z samochodu na stanowiska robocze. Belki DMS i pręty zbrojarskie wiązano w pęczki, beton i zaprawę murarską dostarczały dźwigi na poszczególne kondygnacje w specjalnych pojemnikach.

Z możliwościami żurawi bardzo wyraźnie kontrastowały drobnowymiarowe metody wykonywania ścian ceglanych i stropów pustakowych DMS lub Ackermana. Pojawiły się więc pomysły, aby filary i fragmenty ścian ceglanych murować na poziomie terenu i podnosić żurawiem duże gotowe bloki ściennie. Ten pomysł był wyraźnie anachroniczny, podobnie jak ongiś pierwsze samochody, którymi były dorożki konne, wyposażone w silniki spalinalne. Natomiast wszelkie pomysły w zakresie zmiany technologii ścian konstrukcyjnych „poszybowały” rychło w kierunku budownictwa wielkoblokowego, zaś później wielkopłytowego, z zastosowaniem żelazobetonu, jako tworzywa.

Bardziej sensowny wydawał się pomysł wykonywania na przyziemnym poligonie płyt stropowych z pustaków Ackermana. Taki projekt właśnie szybko opracowałem i złożyłem w komisji racjonalizatorskiej. Ale równolegle bardzo podobne projekty płyt stropowych dostarczył nam Miastoprojekt-Kraków. Zostały one natychmiast zastosowane powszechnie na budynkach Centrum.

W ogóle znaczna część usprawnień i pomysłów dostosowania technologii budownictwa do nowych możliwości technicznych, kształtowały się w trybie ruchu racjonalizatorskiego na budowach. Ja w tym zakresie w Nowej Hucie miałem swój znaczący udział. Opiszę kilka innych zastosowanych moich projektów racjonalizatorskich.

Chowanie łazienkowych przewodów wodociągowych w murze ceglanym wymagało wykucia w nich odpowiednich bruzd. Gdy w murze były przewody kominowe, to często występowało wykruszenie się cegły aż do otworów spalinowych, czy wentylacyjnych, i ich zatykanie. Zaprojektowałem więc otworowy pustak żużlobetonowy, posiadający podwójne ścianki. Wystarczyło przykuć zewnętrzną, cienką ściankę, żeby uzyskać potrzebne bruzdy na przewody instalacyjne. Pustak ten nazwałem „BeTa” od inicjałów mego nazwiska i imienia. Był wyrabiany masowo na małym poligonie, na przyszłym skwerku os. C31, i zastosowany we wszystkich budynkach Centrum.

Z wykorzystaniem żurawi związany był projekt żelbetowej płyty instalacyjnej, zawierającej wszystkie przewody wodociągowo-kanalizacyjne węzła łazienkowego. Przewidziałem kilka typorozmiarów takich płyt, uwzględniających różne możliwe warianty wielkości i rozwiązania łazienek. Płyty te mocowało się do ściany i podłączało do nich piony oraz urządzenia sanitarne.

Przy robotach szalunkowych stosowano zwykle drewniane stemple do podpierania podciągów i stropów. Wprawdzie używało się je wielokrotnie, ale przy różnych wysokościach wymagały sztukowania, bądź przycinania. Zaprojektowałem prosty, teleskopowy stojak z rur stalowych. Można go było regulować dla różnych wysokości i oczywiście stosować prawie dowolną ilość razy.

Najwięcej pracy poświęciłem adaptacji istniejącego na osiedlu D31 zbędnego, prowizorycznego budynku na centralną mieszalnię betonów o dużej wydajności. Ta centralna mieszalnia też była konsekwencją zastosowania żurawi budowlanych. Na placu budowy, zajęтым na torowiska, nie było już miejsca na hałdy żwiru i piasku oraz na ustawienie betoniarek i mieszarek. Byłoby to zresztą wysoce nieracjonalne. Dostarczane później z mieszalni beton i zaprawy dowożone były wywrotkami, albo w pojemnikach, jakie wprost z samochodu żuraw przenosił na stanowiska robocze na budynkach.

Ta współpraca przy projektowaniu pierwszej Centralnej Mieszalni Zapraw i Betonów w NH była powodem zamieszczenia obszernego, hurrapozytywnego artykułu o mnie w „Informatorze Kierownika Robót”, organie Ministerstwa Budownictwa Miast i Osiedli. Część tekstu piszący redaktor najwidoczniej zmyślił, podając, że ukończyłem AGH w Krakowie i przypisując mi pochodzenie z ludu, żyjącego w nędzy w latach przedwojennych. Później w 1954 r. byłem zresztą korespondentem tego czasopisma IKR, dostarczając nieco tekstów do druku, ale zawsze sprawdzonych i prawdziwych.

Na święta w grudniu znowu pojechałem do rodziców w Kępnie i do siostry we Wrocławiu. W mieszkaniu na ul. Spółdzielczej zamieszkiwały już cztery osoby, gdyż rodzina powiększyła się o małą Grażynkę. Ja zresztą zostałem jej ojcem chrzestnym. Braciszek Januszek miał już wtedy prawie trzy lata.

Pod koniec 1953 r. dyr. Zralek zachorował ciężko i wyjechał do Warszawy, gdzie się leczył i miał być operowany. Wkrótce jednakże zmarł i straciliśmy dyrektora, który sterował instytucją prawie od początku jej istnienia. Miał on ciężką rękę i był wymagający, ale równocześnie przedsiębiorstwo funkcjonowało sprawnie. Załoga, choć w większości młoda, w tym wielu świeżych absolwentów wyższych uczelni, była zgrana, zdyscyplinowana i wykonywała kompetentnie swe obowiązki inwestorskie. Miasto Nowa Huta szybko rosło, liczyło wtedy już ok. 30 tysięcy mieszkańców.

Dopiero po kilku miesiącach, w maju 1954 r., mianowany został przez ministerstwo nowy dyrektor naczelny. Przyjechał z Kielc. Nikt z zatrudnionych w Dyrekcji go nie znał i

on również nie znał nikogo z załogi, a także obce mu były wszelkie bieżące sprawy i problemy inwestorskie Nowej Huty. Powinien więc wprawdzie spokojnie i cierpliwie zapoznać się z ludźmi, którymi miał kierować i ze sprawami, o których miał decydować, zaś tymczasem zaufać i oprzeć się na całej kierowniczej kadry biura.

Zaczął jednakże od ściągania i zatrudniania nowych ludzi, chyba z Kielc, oraz od wyszukiwania potencjalnych zwolenników wśród zastanej załogi. Rychło się odpowiedni pochlebcy z „przerośniętymi” ambicjami znaleźli i w ciągu niewielu miesięcy uformowała się w przedsiębiorstwie klasyczna klika wokół nowego dyrektora S. J. Ale tymczasem sprawy biegły normalnym torem, jakby z rozpędu, dopiero po kilku kwartałach ujawniły się konsekwencje zaistnienia nowej konstelacji władzy w DBMNH.

W lutym 1954 r., wykorzystując resztę zaległego urlopu z poprzedniego roku, pojechałem na zimowe wczasy do Dusznik Zdroju. Jest to nieduża, uroczą miejscowość uzdrowiskowo-wypoczynkowa, położona między górami Bystrzyckimi i Stołowymi w „worku” kłodzkim. W środku miasta usytuowany jest spory Park Zdrojowy z pijalnicami lokalnych, szczawiovych wód mineralnych. W parku też znajduje się muszla koncertowa, w jakiej już od 1946 r. odbywają się corocznie fortepianowe festiwale muzyki szopenowskiej.

W Dusznikach wziąłem udział w kursie nauki jazdy na nartach. Uczyłem się tym pilniej, że na turnusie zapoznałem pewną miłą, a nieustrudzoną amatorkę białego szaleństwa. Kurs zakończony został konkursem zjazdowym, w jakim wziąłem udział, plasując się bodaj na trzecim miejscu. W ramach turnusu zwiedzaliśmy nieodległą Kudowę z kaplicą wytapetowaną tysiącami ludzkich czaszek i piszczele z okresu wojen i zarazy w XVIII wieku. Zwiedzaliśmy też Polanicę Zdrój, Kłodzko i Bystrzycę Kłodzką z dużą fabryką zapalek.



Wczasy w Dusznikach

W pamięci utkwili mi wówczas szczegół technologiczny formowania główek zapalek. Dokonywało się to w ten sposób, że szeroka na dwa metry gumowa taśma, nadziana gęstą szczecina setek tysięcy drewnienek, najeżdżała powoli nad wielką kadź z płynnym, gorącym roztworem siarki. Oczywiście drewnienka poutykane były w taśmie od jej spodu i, przesuwając się nad kadzią, zanurzały się swymi końcami w płynnej siarce. W ten sposób niezliczone szeregi drewnienek otrzymywały kolorowe główki i zamieniały się w zapalki.

W 1954 r. trudziłem się redagowaniem lokalnego czasopisma miesięcznego pt. „Biuletyn Technika”, wydawanego przez nasze koło Polskiego Związku Inżynierów i Techników Budownictwa przy Dyrekcji Budowy Miasta Nowa Huta. Miesięcznik powstał staraniem trzech pracowników biura, inżynierów zatrudnionych w Inspektoracie Nadzoru. Jednym z nich był Zdzisław Górski, specjalista od budowy dróg i linii tramwajowych. Załatwiał on wszystkie pozwolenia i inne formalne sprawy, niezbędne do wydawania czasopisma. Był do tego najbardziej predysponowany, gdyż świeżo wybrany został radnym dzielnicowym NH. Nawiasem mówiąc, była to dobra odsłocznia do jego wielkiej kariery zawodowej. Wkrótce przez kilka lat był zastępcą d/s inwestycyjnych przewodniczącego Prezydium Rady Narodowej m. Krakowa prof. W. Bonieckiego. Później kierował budową dwóch wielkich fabryk, realizowanych przez krakowskie przedsiębiorstwa budowlane w Illmenau w NRD, zaś jeszcze później był naczelnym dyrektorem budowy polskiego odcinka gazociągu uralskiego „Przyjaźń”.

Drugim był Tadeusz Chudyba, również inspektor nadzoru drogowego, do którego należał druk tysiąca egzemplarzy pisma oraz jego kolportaż w NH. Ja byłem redaktorem

naczelnym pisemka i składałem cały tekst i rysunki do wszystkich sześciu numerów, jakie wydaliśmy. Bezpośrednio redagowałem około 60 % materiałów pisemnych i 100 % graficznych. Między innymi zamieszczałem w „Biuletynie” opisy moich projektów racjonalizatorskich.

W okresie tym sprawowałem również funkcję sekretarza koła PZITB w DBMNH. Działało ono wtedy bardzo aktywnie. Na przykład, urządzona została, głównie staraniem kol. Chudyby, duża wystawa materiałów budowlanych dla pracowników budownictwa i mieszkańców Nowej Huty.

Byłem zawsze aktywny w różnych organizacjach społecznych. Nie licząc okresu studiów, najwcześniej, bo od lipca 1950 r. zostałem członkiem Związku Zawodowego Pracowników Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych. Zmienił on kilka razy swą nazwę, ale ja zawsze miałem tę samą legitymację związkową. W ramach związku zawodowego byłem kierownikiem sekcji współzawodnictwa w 1954, zaś w 1955 r. członkiem lokalnej Rady Zakładowej.

W kwietniu 1954 roku zostałem członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej po 11-miesięcznym okresie kandydowania. Organizacja partyjna na terenie przedsiębiorstwa była bardzo liczna i znacząca. Ja brałem aktywny udział w zebraniach i w ideologicznych szkoleniach, lecz żadnych funkcji partyjnych nie sprawowałem.

Interesowałem się od najmłodszych lat problemami politycznymi, jednakże zawsze koncentrowałem się raczej na działalności społecznej, związanej bezpośrednio z moimi zainteresowaniami zawodowymi. Nigdy też nie myślałem o jakiegokolwiek karierze politycznej, choćby z tego praktycznego względu, że polityk musi posiadać umiejętność wysławiania się (gadania), a ja dobrym mówcą nigdy nie byłem. Choć w piśmie radziłem sobie raczej nieźle.

Służba wojskowa ominęła mnie szerokim łukiem. W tych początkowych latach Polski Ludowej, inżynierowie budowlani, podobnie jak kłosa zboża, byli „na wagę złota”. Więc mimo decyzji WKR Wrocław z III 1949 r. o mej zdolności do służby liniowej - już w II 1952 r. zostałem przeniesiony do rezerwy bez odbycia zasadniczej służby wojskowej. I to bez jakiegokolwiek inicjatywy i starań z mojej strony w tej kwestii.

W miarę możliwości czasowych chodziłem dość często do kin, przeważnie do „Apollo” lub „Sztuki” przy ul. Św. Tomasza. Największą popularnością, obok licznych filmów polskich, cieszyły się wówczas „noworealistyczne” filmy włoskie i komedie francuskie z Fernandem. Sale kinowe były prawie zawsze przepełnione, a przed kasami ustawiały się długie kolejki. Kto nie miał czasu na wystawianie po bilety, mógł je kupić po odpowiednio wyższej cenie u koników, którzy funkcjonowali niezawodnie, mimo okresowych nalotów milicji. Ja też nieraz korzystałem z ich usług, zwłaszcza gdy szło się do kina z dziewczyną.

Znacznie rzadziej chodziłem do teatrów. Kilka razy byłem w Teatrze Satyryków na Placu Szczepańskim. Pamiętam m. in. występy Zbigniewa Kurtycza z jego ówczesnym przebojem „Cicha woda” i Mariana Załuckiego, wygłaszającego drżącym głosem, i jakby zacinając się, swe wierszowane satyry. W połowie roku byłem na „Zemście” Aleksandra Fredry w Teatrze Polskim. Rolę Dyndalskiego grał wówczas 99-letni nestor scen polskich Ludwik Solski. Był on przeraźliwie chudy i choć otrzymał entuzjastyczne brawa, to widać było wyraźnie, że porusza się i wymawia swe kwestie z wielkim trudem. Zmarł wkrótce na kilka tygodni przed stuleciem swych urodzin.

Niekiedy zaglądałem do fotoplastykonu przy ul. Szczepańskiej. Właściwe urządzenie, obudowane okrągłą, parawanową ścianką, zajmowało środek niedużej salki, zwykle zaciemnionej. Siedziało się wokół na wysokich, bufetowych zydełkach i oglądało przez stereoskopowe okulary przesuwające się skokowo obrazki fotograficzne. Najczęściej były to zdjęcia krajobrazów, architektury, ludzi czy zwierząt z odległych egzotycznych

krajów świata. Oczywiście zdjęcia były czarnobiałe, niektóre pochodziły z czasów przed wynalezieniem kinematografu.

W sierpniu 1954 r. wyjechałem w ramach 2-tygodniowego urlopu na kolejne wczasy FWP, tym razem do Karpacza. Byłem już w tym ośrodku wypoczynkowym w czerwcu 1946 r., jako stenograf Zjazdu Architektów RP, ale tylko przez kilkanaście godzin. Oprócz bardzo dobrego wrażenia, jakie zrobiły na mnie ulice miasteczka, którymi wtedy jechaliśmy, nic naprawdę nie zwiedziłem. Obecne wrażenie też było dobre, choć wówczas w 1946 w Karpaczu nie było jeszcze Polaków, zaś w 1954 r. już prawie nie było Niemców.

Tym razem przyjechałem pociągiem, po przesiadce w Jeleniej Górze. Połączeń autobusowych chyba wówczas w ogóle nie było. Zakwaterowałem w domu wypoczynkowym „Rolnik” w Dolnym Karpaczu. Był to duży ośrodek dla kilkudziesięciu wczasowiczów, którymi okazali się znów, w większości, młodzi ludzie.

Karpacz jest niewiele większy od Szklarskiej Poręby Górnej, ale za to bardziej rozciągnięty wzdłuż swej głównej ulicy, wijącej się licznymi serpentynami, oraz w pionie, gdyż różnica wysokości npm między Dolnym Karpaczem, a Bierutowicami (Górny Karpacz) wynosi około pół kilometra.

Znów, podobnie jak w Szklarskiej i Dusznikach, nie opuściłem żadnej wycieczki, organizowanej przez instruktora k.o. Ta łązęga po górach stała się potem już stałym mym nałogiem. Szczególnie upodobałem sobie właśnie Karkonosze, które wielokrotnie przemierzyłem od Szrenicy po przełęcz Okraj. Tym razem, wraz z wczasowiczami z „Rolnika” zaliczyłem Samotnię, Strzechę Akademicką, Pielgrzymy, Przełęcz Karkonoską, Kopę i Równię pod Śnieżką. Oczywiście również samą Śnieżkę, najwyższy szczyt Karkonoszy, liczący 1603 m npm.

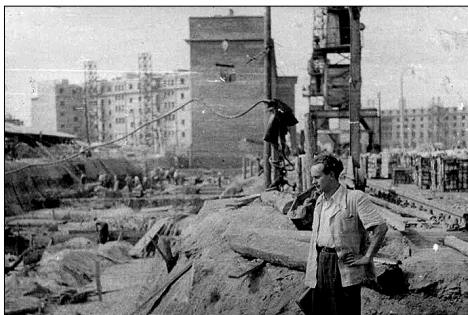
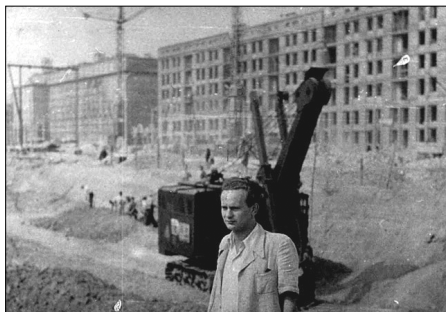
Były na nim drewniana stacja meteorologiczna i dwa również drewniane, wyjątkowo brzydkie schroniska: polskie i czeskie, gdyż przez środek góry przechodzi granica państwowa. Schronisko czeskie było zwykle zaopatrzone znacznie lepiej, bo po ich stronie na sam szczyt dochodziła już wtedy kolejka linowa. Polskie schronisko na początku lat 60. spłonęło, po czym do 1968 r. wybudowano nowe w formie trzech wielkich, oryginalnych, „latających” spodków betonowych. Najwyższy spodek zajmuje obserwatorium PIHM. Do tej kopiaistej Śnieżki miałem jednakże wyjątkowego pecha. Ilekroć się na nią wdrapałem, zawsze co najmniej sam szczyt był schowany w chmurach i nie zobaczyłem nigdy wspaniałych widoków na czeskie Karkonosze. Oczywiście w latach pięćdziesiątych nie było jeszcze wyciągu krzeselkowego z Karpacza na Kopę i cały kilometr z hakiem różnicy wysokości trzeba było pokonywać na własnych nogach.

Za naliczone za wycieczki punkty w książeczce PTTK otrzymałem tym razem srebrną górską odznakę turystyczną. W DW „Rolnik” zdobyłem jeszcze pierwszą nagrodę w turnieju szachowym, zorganizowanym dla wczasowiczów ośrodka.

Na swoim stanowisku zespołowego inspektora nadzoru niewiele czasu poświęcałem już na bieżącą kontrolę jakości robót na budowach. Sprawowali ją bezpośrednio podlegli mi koledzy inspektorzy. Ja natomiast znaczną część czasu pracy przeznaczałem na koordynację i sprawdzanie roboczej dokumentacji technicznej. Napływała ona cały czas sukcesywnie, niewiele wyprzedzając terminy realizacji. Stąd wynikała potencjalna możliwość zaistnienia rozbieżności pomiędzy poszczególnymi elementami projektów. Dotyczyło to zwłaszcza opracowań architektonicznych i branży instalacji sanitarnych. Na ich wzajemną koordynację musiałem poświęcać wiele czasu.

Jeździłem wówczas też często do Miasto-projektu, gdzie bezpośrednio z projektantami uzgadniałem zaistniałe wątpliwości i uzyskiwałem brakujące rysunki dla wy-

konawcy. To nieustanne sprawdzanie i weryfikowanie dużej ilości dokumentacji dla obiektów Centrum NH sprawiło, że stałem się w jakimś sensie profesjonalistą w tym zakresie. Między innymi opracowałem zestawienie typowych, często powtarzających się usterek i braków w dokumentacji technicznej i przekazałem te wykazy do biura projektowego. Zamierzałem również napisać na ten temat broszurę-książkę i zacząłem przygotowywać oraz kompletować do niej odpowiednie materiały z mej praktycznej działalności. Nie był to jedyny pomysł z mej strony, jaki się potem „rozmydlił” i nie został ostatecznie doprowadzony do końca.



Na budowie os. A-31 Centrum NH

Wiele czasu poświęcałem też na opracowywanie wciąż nowych projektów racjonalizatorskich. Zgłaszałem je do Komisji Racjonalizatorskiej w „Zetbeem”, gdzie, na ogół, bardzo szybko projekty te rozpatrywano. W przypadku przyjęcia do realizacji otrzymywałem jednorazowe wynagrodzenie, jakie zwykle wynosiło po kilka tysięcy złotych. Pamiętam, że na przykład, za pomysł pustaka „Beta” otrzymałem 4 tys. złotych gratyfikacji. Projekt ten komisja zgłosiła również do Urzędu Patentowego PRL w Warszawie celem szerszego upowszechnienia. Zwykle nie interesowałem się zupełnie wdrażaniem swych pomysłów do realizacji, robiło to samo przedsiębiorstwo wykonawcze. Ja w tym czasie zajmowałem się już innymi pomysłami.

Za uzyskanie oszczędności z tytułu racjonalizatorstwa i innych prac projektowych otrzymałem w XI 1954 r. efektowny List Uznania z Zarządu Okręgowego Związku Zawodowego PBIPMB. Tenże Zarząd wystąpił także do resortowego ministerstwa o przyznanie mi odznaki racjonalizatorskiej.

W ciągu 1954 r. brałem udział w dwóch kursach szkoleniowych. W pierwszym półroczu przeszedłem w godzinach służbowych kurs szkolenia podstawowego obrony przeciwnitriczej i przeciwchemicznej, jaki zorganizowany został dla wszystkich pracowników. Oczywiście nie miał on nic wspólnego z pracą zawodową, a był jedynie wynikiem ogólnoświatowej hysterii wojennej.

Drugi kurs we wrześniu dotyczył głównie spraw kompozycji i projektowania architektonicznego. Przeprowadzony był staraniem Krakowskiego Oddziału Stowarzyszenia Architektów Polskich RP. Między innymi wykładowcą był młody profesor W. Zinn, który popisywał się swą fenomenalną umiejętnością rysowania piórkiem i węglem. Podziwiałem go szczerze, bo choć akurat w tej dyscyplinie rysowania byłem mocny - to nijak z mistrzem nie mogłem się porównywać.

Z początkiem grudnia odbyło się zebranie sprawozdawczo-wyborcze Koła PZITB w moim biurze. Nikt z uczestników nie mógł przewidzieć, że zakończy się w atmosferze emocji i skandalu. Koło grupowało około 30 inżynierów i techników zatrudnionych w Dyrekcji. Zebranie zaczęło się oczywiście od złożenia przez ustępujący zarząd spra-

wozdania ze swej działalności. Była ona wcale bogata. Ja, jako sekretarz Koła, redaktor „Biuletynu” i racjonalizator produkcji, też miałem w niej swój znaczący udział. Potem normalnym trybem odbyła się dyskusja, a następnie wybory do nowego zarządu, wg zgłoszonej z sali listy kandydatów. Liczenie głosów jakoś się przeciągało, a gdy nastąpiło odczytanie wyników wyborów - na sali zapanowała absolutna cisza. Wyniki były bowiem rażąco inne od spodziewanych przez głosujących.

Wreszcie jeden z obecnych oświadczył, że on też notował nazwiska wybranych, ale ma zupełnie inne wyniki. Mianowicie podliczania głosów dokonywały dwie osoby z wybranej wcześniej komisji skrutacyjnej, siedząc przy stoliku w kącie sali. Jeden z nich czytał z kartek wyborczych nazwiska wybranych, drugi je notował, stawiając kreseczki na swej liście kandydatów.

Niezauważenie dla nich wyniki te notował też, siedzący trochę dalej, kol. M., będący zresztą I sekretarzem POP w Biurze. Mimo gwaru, panującego na sali, słyszał on odczytywane nazwiska. Pytany potem, jak to było możliwe, przy tak dużym hałasie panującym na sali, odpowiedział, że ma doskonały słuch i słyszy nawet, jak pchła skacze po pościeli. Kartek z głosami nie można było niestety sprawdzić, gdyż zostały, przy zliczaniu głosów, podarte na drobne strzępy.

Zebranie natychmiast wybrało trzyosobową komisję, celem podjęcia przez nią decyzji, co dalej robić. Byłem w jej składzie. Po krótkim przesłuchaniu na osobności kilku kolegów, w tym członków komisji skrutacyjnej, zdecydowaliśmy o powtórzeniu głosowania. Po drugim głosowaniu, przed podliczeniem głosów, poszedłem do domu, gdyż miałem dosyć tego żenującego widowiska.

Dopiero w następnym dniu dowiedziałem się, że po drugim głosowaniu nie zgadzała się ilość kartek z ilością głosujących. Więc przeprowadzono trzecie głosowanie, w trakcie którego, z kolei, zgasło światło elektryczne. Wybory dokończono ostatecznie późną nocą przy świeczkach. Oczywiście wynik był zupełnie inny od tego pierwszego, ogłoszonego oficjalnie.

Całe to zamieszanie i jawne oszustwo spowodowane były rywalizacją grupy, skupionej wokół nowego dyrektora, ze starą częścią załogi. Było próbą wprowadzenia również do Koła PZITB swoich koleśków, którzy już obsiedli część kierowniczych stanowisk. Można się było dziwić po co im społeczne, niepłatne funkcje w zarządzie lokalnego Koła PZITB. Dopiero po pewnym czasie dowiedziałem się, iż dyrektor obiecał niektórym osobom, że nowowybrany zarząd dopuszczony zostanie do współzarządzania w przedsiębiorstwie. Ta brudna gra miała swój ciąg dalszy za kilka najbliższych miesięcy.

Na początku 1955 r. zaplanowałem także wyjazd na wczasy zimowe, żeby pojeździć sobie trochę na ulubionych nartach. Ale wcześniej, w pewną styczniową niedzielę,



Na Magórze w Beskidzie Wyspowym

pojechałem z kilkoma kolegami na narty w Beskid Mały. Dojechaliśmy pociągiem do Suchoj Beskidzkiej, zaś na nartach jeździliśmy na stokach góry Magurki.

Miałem własne drewniane narty z kandaharami i bambusowe kijki, wyszabrowane jeszcze w Wałbrzychu w 1946 roku. Dziś takie narty nadawałyby się jedynie na eksponaty muzealne, ale wówczas uważane były za przeciętnie nowoczesne. Skórzane buty narciarskie, z rowkami na sprężyny wiązań kandaharowych, nosiłem zwykle na co dzień przez całą zimę.

Na wczasy pojechałem znów do Karpacza.

Tym razem kwaterowałem w Bierutowicach powyżej średniowiecznego, drewnianego kościółka norweskiego Wang. Było bliżej na trasy narciarskie w rejonie studenckiego schroniska „Strzecha Akademicka”. Ale tak po prawdzie, to więcej było opalania się przed, niż położonym w Kotle Małego Stawu, schroniskiem „Samotnia”, niż jeżdżenia na deskach. Trzeba było dostosować się do wczasowych koleżanek, które dbały bardziej o swą opaleniznę, niż o uroki jazdy na nartach. Prawie przez cały turnus była piękna, słoneczna pogoda, to też wszyscy poopalaliśmy się na Murzynów.

Za to bezruch opalania się rekompensowaliśmy cowieczornymi potańcówkami. Ja w tym zakresie byłem bardzo atrakcyjny, po prostu dobrze tańczyłem, a ponadto dysponowałem stale pieniężkami. Bywało, że całej grupie fundowałem wstęp do lokalu, wino itp. Dotyczyło to zresztą wszystkich moich licznych urlopów wczasowych w okresie kawalerskim. Miałem też niezły, małoobrazkowy aparat fotograficzny i często robiłem zdjęcia. Zawsze dobrze oświetlone i skadrowane, wszak tego również uczyłem się na studiach. Potem sam wywoływałem odbitki i rozsyłałem do wczasowych znajomych. Mam dziś cały album ze zdjęciami młodych, ślicznych, wczasowych sympatii na tle pięknych plenerów i służy mi on, między innymi, do pisania tego pamiętnika.

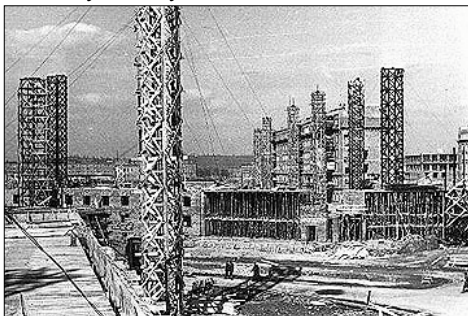
Chyba z tych wymienionych powodów, zawierałem zawsze na wczasach sympatyczne znajomości, które potem owocowały korespondencją na krańce Polski. Muszę tu podzielić się swym ówczesnym doświadczeniem, że najłatwiejsze i najbardziej zamilowane w FWP były wtedy Radomianki, Łodzianki i Kielczanki. Te miasta to widocznie taki trójkąt bermudzki urody i wdzięku kobiecego w skali całego kraju.

Nigdy nie brałem ciągłego, miesięcznego urlopu wypoczynkowego. Najczęściej korzystałem w ciągu roku dwukrotnie z dwutygodniowych urlopów, zwykle latem i zimą. W okresie kawalerskim jeździłem na urlopy tylko w góry. Początkowo do miejscowości w Karkonoszach, potem do Zakopanego, Krynicy, Szczawnicy i Szczyrku.

Po powrocie z uroczego Karpacza znów czekał na mnie „młyn” pracy. Oddawane były kolejne bloki na osiedlach Centrum i rozpoczynane następne. Miałem z tym wiele roboty. Za to mniej angażowałem się w pracach społecznych. Wycofałem się z działalności w PZITB i zostałem wreszcie członkiem Stowarzyszenia Architektów RP, co dawno powinienem uczynić, gdyż byłem przede wszystkim architektem. Przestałem też zwracać sobie głowę pisaniem jakiejś książki o racjonalnej dokumentacji projektowej.

Ale wciąż pisałem wiele protokołów, notatek, listów prywatnych i artykułów do czasopism. Sprawilem więc sobie okazynie zgrabną, małą maszynę do pisania. Ta maszyna bardzo mi się przydała i szybko się zamortyzowała. Kupiłem ją od najstarszego w Dyrekcji pracownika inż. Drzewieckiego, który choć miał już ponad 70 lat, pracował jeszcze jako inspektor nadzoru na części etatu. Mimo swego wieku był zapalonym amatorem wędrówek górskich. Na wycieczki nawet latem chodził w maszynowych butach, z czekanem i plecakiem, w którym była pelerynka oraz sweter, na wszelkie możliwe gwałtowne zmiany pogody, jakie w Tatrach nierzadko się zdarzały.

W kwietniu 1955 r. otrzymałem z Urzędu Patentowego świadectwo autorskie na prefabrykowany pustak do kanałów dymnych i wentylacyjnych „Beta”. Zaś wkrótce po tym z Ministerstwa Gospodarki Komunalnej, z Centralnego Zarządu Budowy Miast i Osiedli „ZOR” zawiadomienie o nadaniu mi Odznaki Racjonalizatora Produkcji. Później



Budowa oś. B-31 na Centrum

otrzymałem jeszcze 12 różnych odznaczeń i odznak, ale tę pierwszą Odznakę Racjonalizatora, z podobizną W. Pszostowskiego na awersie, ceniłem i cenię sobie najbardziej.

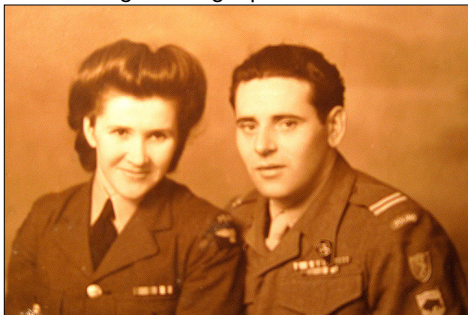
Do maja ukończyłem 3-miesięczny kurs nauki prowadzenia samochodu i motocykli. Kurs zorganizowany był staraniem naszego Koła PZITB dla wszystkich chętnych, zatrudnionych w Dyrekcji. Uczyliśmy się jazdy na samochodzie, jaki miał z boku kierunkowskazy wychyłane przez linki, zaś uruchamiany był przez pokręcenie korbą z przodu pojazdu. Po stosownym egzaminie uzyskałem pozwolenie na prowadzenie pojazdów mechanicznych kategorii amatorskiej, upoważniające do niezawodowego prowadzenia samochodów osobowych oraz motocykli.

Tak się jednakże złożyło, że nigdy później nie przejechałem samodzielnie samochodem, ani motocyklem, nawet dziesięciu metrów. Po prostu zawsze mieszkałem blisko miejsca pracy i na dojazd nie był mi potrzebny żaden samochód. A gdy później korzystałem z samochodu służbowego, to razem z kierowcą. Żeby było śmieszniej: ja byłem wnioskodawcą tego samochodowego kursu.

Prowadziłem dość ożywioną korespondencję. Pisywałem listy do redakcji kilku czasopism, wczasowych znajomych, regularnie do rodziców, rzadziej do siostry we Wrocławiu. Szczególnie matka pisała do mnie dość często, a zawsze bardzo konkretnie i składnie, informując także o losach całej rozgałęzionej rodziny. W związku z tym ja już nie pisywałem do moich licznych wujków, ciotek i kuzynów., zaś oni też wiedzieli co ja robię i gdzie przebywam. Wszyscy mieli bogate w przeżycia życiorysy, rzeźbione przez burzliwe lata wojny i okresu powojennego. W każdym bądź razie nikt w czasie wojny nie zginął, a umarł jedynie ojciec mamy.

Krewni ze strony ojca przede wszystkim nadal prowadzili swe gospodarstwa rolne w Kuźnicy Bobrowskiej i Bobrownikach w Poznańskim. Z biegiem lat gospodarstwa ich przekształciły się w wysoce zmechanizowane farmy, o bardzo dużej wydajności.

Rodzina mej mamy była bardziej rozczłonkowana. Henryk, prowadzący zakład masarski, oraz Zbyszek, parający się handlem, przebywali we Wrocławiu. Ferdynand miał gospodarstwo rolne w Kłodzku. Waław, pracujący jako urzędnik pocztowy, oraz Janina mieszkali w Tczewie, zaś Aniela, nauczycielka wiejska, w Łosicach w województwie lubelskim. Natomiast Edward, po rozwiązaniu korpusu gen. Andersa, przebywając w Niemczech, ożenił się z Niemką i ostatecznie osiadł na stałe w Anglii, gdzie pracował jako tkacz.



Wujek Edek z żoną Lottą w Anglii

Z uwagi na obfitą korespondencję, jaką prowadziłem, dobrze byłem znany rejonowemu listonoszowi. Przynosił mi on listy nawet błędnie adresowane, byle imię i nazwisko się zgadzało. Raz otrzymałem list, w którym piszący zwracał się do mnie po imieniu, a pisał jak do małego chłopca. Nazwisko i imię, jak również ulica i numer domu się zgadzały i dopiero po chwili zorientowałem się, że numer mieszkania jest inny. Nie chciało mi się wierzyć, aby istniał ktoś drugi o tym samym imieniu i tak rzadkim nazwisku i zamieszkiwał akurat w tym samym bloku co ja. Poszedłem jednak pod wskazany numer mieszkania na drugim końcu budynku i rzeczywiście mieszkał tam mój młodociany imiennik. Oddałem list rodzicom i przeprosiłem za jego otwarcie.

Drugie podobne zdarzenie, porównywalne do trafienia szóstki w „Totolotku”, miałem wiele lat później. Pracowałem w biurze projektów, gdy telefonistka z centrali podłączyła do mnie telefon z miasta. Odezwał się młody dziewczęcy głos. Osóbka po sprawdzeniu po nazwisku i imieniu do kogo dzwoni, zaczęła zwracać się do mnie per „tatusiu”

i relacjonować mi jakieś swe sprawy. Ja grzecznie przerwałem, mówiąc, że mam wprawdzie dwóch synów, ale żadnej córki. Zapytałem więc z kim właściwie chciała rozmawiać. Powtórzyła znów me imię i nazwisko. Gdy zapytałem o instytucję, gdzie jej ojciec pracuje i gdzie chciała dzwonić, no to okazało się, że w Rzeźni Miejskiej przy ulicy Rzeźniczej. Gdzie Rzym, gdzie Krym i jakie „krasnołudki” dokonały tego połączenia? A na boku, to chyba ten mój poprzedni imiennik z Nowej Huty dorobił się córeczki i ona z nim właśnie próbowała się telefonicznie skontaktować.

Bardziej normalna historyjka przydarzyła mi się też wiele lat później w nowym miescu zamieszkania. Pisałem coś przy biurku, gdy usłyszałem przez otwarte okno, że jakiś kobiecy głos wywołuje mnie po nazwisku. Podszedłem więc do okna, a to nieznana mi dziewczyna wołała w ten sposób na swego pieska, z którym najwidoczniej wyszła na spacer na łączkę przed blokiem, w jakim mieszkalem. Zdziwiłem się bardzo, że tak nietypowo można nazywać psa i to w dodatku zwykłego, łaciatego kundelka.

W czerwcu 1955 r. pojechałem na kilka dni do Poznania, celem zwiedzenia Międzynarodowych Targów Poznańskich, zresztą w ramach delegacji służbowej. Zawsze byłem ciekaw różnych nowinek oraz osiągnięć techniki i nauki i chciałem to i owo na Targach oglądać. Były one rzeczywiście imponujące, również polskie pawilony prezentowały się nader bogato i wszechstronnie. Przez 10 lat odbudowy i rozbudowy polskiej gospodarki poczynione zostały faktycznie olbrzymie postępy. To trzeba było samemu zobaczyć. Na Targach przypadkowo po raz pierwszy zobaczyłem i usłyszałem młodziutką, później szeroko znaną, piosenkarkę Marię Koterbską. Śpiewała przed jakimś pawilonem, swe przebojowe sentymentalno-nastrojowe piosenki.

W tym mniej więcej czasie rozegrał się w DBMNH kolejny akt rozprawiania się nowej ekipy, otaczającej naczelnego dyrektora, ze starą, wieloletnią załogą. Rozgrywka miała spektakularny przebieg i odbyła się w czasie specjalnego zebrania Podstawowej Organizacji Partyjnej. Udział w nim wzięła I sekretarz tow. W. oraz kilku członków Dzielnicowej OP, chyba z Komisji Kontroli Partyjnej. Zebranie miało charakter rozprawy sądowej, przy czym powodami było kilku pracowników nowej ekipy, zaś pozwanymi trzy osoby ze starej załogi. Były to znaczące postacie, bo I sekretarz POP tow. M. i przewodniczący Rady Zakładowej związku zawodowego tow. P. oraz, chyba dla kamuflażu, również młody geodeta A. Kowalski. Ten sam, z którym ponad rok temu w deszczu sprawdzaliśmy rzędne posadowienia dwóch budynków Centrum.

Już na samym początku odczytane zostały liczne zarzuty pod adresem obwinionych. Miały one różny charakter i wagę, oraz dotyczyły kilku lat ich działalności. Niektóre były oczywiście słuszne, jak na przykład pod adresem przewodniczącego P., że zamykał drzwi wyjściowe, gdy miało być zebranie związkowe. Zaś do związków zawodowych należeli wszyscy. Oczywiście powszechnie utrudniano opuszczanie zakładu pracy przed zebraniem związkowymi. Ale też wówczas pryncypialnie odbywały się one po godzinach pracy. A np., jaka matka mogła pozwolić sobie na zatrzymanie się, gdy musiała odebrać dziecko z przedszkola, czy żłobka. Potem nigdy tego już nie praktykowano, bo zebrania związkowe były, i są do dziś, w godzinach pracy. Więc był to zarzut prawdziwy, ale tendencyjnie dobrany.

Inny zarzut, że tow. M. otrzymuje jakieś bogate paczki od krewnych z Zachodu, z wyluszczeniem księżycowej zawartości tychże, przytoczono chyba tylko po to, żeby wzbudzić zazdrość słuchaczy. Następnie, że przy jakiejś okazji w jego mieszkaniu odbyła się orgia z tańcem nagusa (czy naguski) na stole biesiadnym. Dowodu na to żadnego nikt nie przedstawił, lecz zgroza opanowała zebranych.

Geodecie wytknięto np., że w czasie godzin pracy widziano go gdzieś tam na motocyklu z dziewczyną. Łamał więc świętą dyscyplinę pracy. Nie pamiętam, aby perso-

nalny-oskarżyciel przedłożył jakiegokolwiek dowody. Dowodów natomiast żądano od oskarżonych, jeśli chcieli się wybronić z zarzutów. Przy czym odniosłem wrażenie, że nie ze wszystkimi oskarżeniami byli oni wcześniej zapoznani. Lecz jak tu się bronić i udowodnić, że dwa lata temu, w styczniu, w piątek wieczorem, nie biło się swoich małych dzieci, jeśli się faktycznie małe dzieci miało. Normalny człowiek nie przypomni sobie raczej, co w tym czasie konkretnie robił.

Lecz mimo to, z części oskarżeń pozwani wybroniли się, między innymi z zarzutu o tym motocyklu i dziewczynie. Obwiniony był wtedy na drugim końcu Polski, na co przedstawił niezbity dowód.

Usłyszeliśmy wtedy od oskarżycieli, że to i tak nie zmienia postaci rzeczy, bo zarzutów przed którymi oskarżeni się nie wybroniли, jest tyle, że starcza na najsurowszą karę. Oczywiście tą karą miało być usunięcie z zajmowanych funkcji i wykluczenie z PZPR. Taki też wniosek miał być postawiony pod głosowanie zebranych.

W ostatniej chwili ja wyrwałem się z obroną „jak Filip z konopi”. Od dłuższego czasu dokumentowałem stenograficznie całe zdania wypowiedzane przez jedną czy drugą stronę i przygotowałem sobie konspekt stenograficzny swego wystąpienia. Nazwałem rzeczy po imieniu, że chodzi o najzwyczajniejsze intryki personalne i stanowiska w biurze, jakie za wszelką cenę grupa nowych pracowników chce zagarnąć dla siebie. Oskarżyłem więc oskarżycieli o tendencyjne spreparowanie zarzutów, w części opartych na kłamstwie, co obwinieni udowodnili, zaś w całości, w tej sytuacji, absolutnie niewiarygodnych. Dalsza część sali nagrodziła mnie skrycie oklaskami, natomiast siedzący za stołem prezydialnym mieli „pokrzywione” miny.

Usłyszałem wtedy, że jestem młody, że sprawiedliwości musi się stać zadość, że winnych trzeba ukarać itp. Zarządzono głosowanie i patrzyłem na tę salę, jak powoli podnosiły się do góry ręce tych, co to mają żony i dzieci i muszą dbać o chleb dla nich. No i przegłosowali zgłoszone wnioski.

Lecz nie był to ostatni akt sprawy. Finał ostatecznie rozegrał się dopiero w październiku 1956 roku, łącznie z zadośćuczynieniem sprawiedliwości, ukaraniem faktycznie winnych itd. Wówczas zacząłem powoli związać swoje inspektorskie żagle. Ciągnęło mnie do biura projektowego. Wszak przyjechałem tylko na dwa lata praktyki, by potem wrócić do deski projektanckiej.

Ale otarłem się akurat o nową ciekawą ofertę pracy w tworzonej w Nowej Hucie Stacji Badawczej Instytutu Budownictwa Mieszkaniowego. Miała zajmować się technologią i ekonomią wprowadzanych właśnie uprzemysłowionych metod budownictwa. Na osiedlu A11 planowano niedługo budowę eksperymentalnego budynku mieszkalnego, projektowanego z elementów wielkoblokowych. Obiekt ten miał być właśnie przedmiotem badań Instytutu.

Wydawało mi się, że jest to dla mnie ciekawe pole do popisu i zgłosiłem swą ofertę. Złożyłem też podanie o okresowe zwolnienie z pracy w DBMNH. Po moim wystąpieniu na opisanym wyżej zebraniu POP, nie powinienem mieć ze zwolnieniem żadnych trudności. Tymczasem znów, w ramach przysługującego mi urlopu, pojechałem na wczasy, tym razem do Cieplic-Zdroju. Jeszcze w latach pięćdziesiątych było to odrębne miasto uzdrowskowo-wczasowe, gdy dzisiaj jest tylko częścią Jeleniej Góry. Za to wówczas Cieplice Śląskie-Zdrój z Jelenią Górą łączyła linia tramwajowa.

W Cieplicach byłem już wcześniej w 1946 roku, ale nic wtedy nie zwiedzałem. Pięknie położone nad rzeką Kamienną w Kotlinie Jeleniogórskiej szczytą się ciepłymi źródłami leczniczymi, znanymi i eksploatowanymi już od XII wieku, leczniczymi złożami borowiny oraz wspaniałym starym Parkiem Zdrojowym. Znaczącą atrakcją parku było drewniane Muzeum Przyrodnicze w stylu norweskim, z przepiękną kolekcją ornitologiczną, w tym głównie motyli z całego świata, a także ze zbiorem skał i minerałów Kar-

konoszy. Mnie najbardziej przypadły do gustu koncerty muzyki operetkowej, grane na wolnym powietrzu obok Teatru Zdrojowego.

Wzięłem udział w kilku wycieczkach organizowanych w ramach turnusu do samej Jeleniej Góry, gdzie zwiedzaliśmy liczne obiekty zabytkowe, oraz do Sobieszowa i Jagniątkowa u podnóża Gór Karkonoskich. Kilka kilometrów na zachód od Jeleniej Góry zwiedziliśmy uroczy zakątek nad rzeką Bóbr zwany "Perłą Zachodu". Była to najpiękniejsza kompozycja zieleni i wody, jaką widziałem kiedykolwiek.

Po powrocie z Cieplic czekało na mnie pismo z Ministerstwa, z CZBM „ZOR”, z wezwaniem do przyjazdu do Warszawy. Podjąłem więc delegację i nocnym pociągiem pojechałem, zgodnie z poleceniem, do stolicy. Swoją podróż w Warszawie zacząłem, jak zwykle, od śniadania w barze mlecznym przy ul. Towarowej przed dworcem „Warszawa Główna”. Zamawiałem przeważnie pyszne, chrupiące rogaliki z twarogiem i duży kubek gorącego mleka. Bary mleczne cieszyły się w tamtych latach bardzo dużym powodzeniem i rozrastały się jak grzyby po deszczu.

W Zarządzie „ZOR” zostałem przyjęty przez jednego z szefów. Wypytywał dlaczego się zwalniam i o warunki rodzinne. Ale przede wszystkim zaproponował mi przeniesienie się do Warszawy i pracę w Zarządzie BMIO „ZOR”, czyli w Ministerstwie Gospodarki Komunalnej. Była to dla mnie jakaś perspektywa awansu i ewentualnej kariery, tym razem na szczytach, w centrum dyspozycyjnym budownictwa miejskiego. Jednak odmówiłem od razu, tłumacząc się prawdziwie, że, jako architekt, chciałbym zająć się bezpośrednio twórczym projektowaniem, że nie widzę się w roli administratora itp. Odwiedziłem jeszcze w ministerstwie swego kolegę ze studiów we Wrocławiu J. Zgłiszczyńskiego, o którym wiedziałem, że tam pracuje od pewnego czasu. Właściwie to namawiał mnie, żebym przyjął złożoną mi ofertę. On sam, z biegiem lat swej urzędniczej kariery, doszedł do wysokiego stanowiska v-ministra. Ja poszedłem inną dróżką.

Zatrzymałem się w Warszawie przez całe dwa dni. Akurat miał w stolicy miejsce Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów. W związku z tym odbywało się wiele różnych imprez z tym związanych. Niektóre powiązane były z Pałacem Kultury i Wypoczynku, jaki w przededniu święta 22 Lipca 1955 r. przekazany został do użytkowania.

Pałac został wybudowany w rekordowym czasie trzech lat przez budowniczych radzieckich. Gdy byłem w Warszawie zimą 1952 r. widziałem w tym miejscu olbrzymią dziurę wykopów i kłębówisko żelbetowych fundamentów w trakcie zbrojenia i betonowania. Największy i najwyższy budynek w Polsce, jaki zbudowano w XX wieku, liczy przeszło 3000 pomieszczeń, ponad 800 tysięcy m³ kubatury i 230 m wysokości. Trudno byłoby wyliczyć mnogie instytucje, obiekty i urzędy, jakie się w nim znalazły.

Zwiedziłem wówczas wiele głównych pomieszczeń. Byłem też w jednym z kin na seansie filmowym. Specjalne wrażenie zrobiła na mnie klimatyzacja działająca w sali kinowej. Było w tej sali chłodno i rześko, gdy na zewnątrz panowały igrzyska bułgarskie. Po seansie wzięłem udział w tłumnych tańcach, chyba spontanicznych, jakie trwały do późnej nocy na placu przed pałacem od strony Al. Jerozolimskich. Tańczyłem kilka razy z Hinduskami, ubranymi w kolorowe sari.

Na dłuższe zwiedzanie Warszawy nie miałem czasu. Ale też stolica się zabudowała i rozrosła. To już z powrotem było miasto milionowe i na jego zwiedzenie trzeba by poświęcić wiele dni. Ja ograniczyłem się tym razem do rzutu oka na pięknie odbudowane osie Stare Miasto - Krakowskie Przedmieście - Nowy Świat, Stadion X-lecia - Most Poniatowskiego - Al. Jerozolimskie - ówczesny Dworzec Główny PKP i kawałek ulicy Marszałkowskiej.